

## **Marta Kwaśnicka: Fragmenty czerwcowych notatek**

Zacznijmy od tego, że piękno nie musi być wcale materialne



**Zacznijmy od tego, że piękno nie musi być wcale materialne**

**Zostań darczyńcą książki Marty Kwaśnickiej - do zamknięcia projektu zostało jedynie 1670 zł!**

Podjęłam w końcu decyzję o zakończeniu swojej krótkiej i niezbyt owocnej kariery naukowej. Nosiłam się z tym od pewnego czasu, nie mając odwagi na zadanie ostatecznego ciosu czemuś, co zabrało kilka lat mojego życia. Od dawna było jednak jasne, że nie mam do tego serca. [...] W końcu oznajmiłam to władzom swojego instytutu.

Odtąd miałam mieć już tylko godziny zlecone, na które zresztą zgodziłam się z radością, bo kto wie, czy to nie ja korzystałam bardziej na spotkaniach z kameralną grupą słuchaczy-muzyków. Wyjaśniałam im przez cały rok zawiłości europejskiej literatury i filozofii, czasem bardziej, a czasem mniej wnikliwie, w zależności od własnych zainteresowań lub tego, co spodobało się im. Robiliśmy przegląd wielkich form kultury jak sztubacy wpuszczeni do teatralnej garderoby. Kultura Zachodu, widziana przez nas w telegraficznym skrócie, zdawała się zestawem poręcznych narzędzi i kostiumów, które mogliśmy przymierzać do współczesności i szukać w nich dziur; sprawdzaliśmy, czy ciągle mogłyby spełniać funkcję, którą kiedyś im przeznaczono. Suor Cristina, śpiewająca pop zakonnica z Włoch, sąsiadowała podczas naszych spotkań z „Królem Edypem”, a krytyka współczesna ze świętym Ignacym Loyolą. Trudne nazwiska i łacińskie pojęcia zapisywaliśmy na pięcioliniach – bo zajęcia miały miejsce w budynku szkoły muzycznej i tylko takie tablice tam były, z pięcioliniami, przystosowane do zapisywania dyktand muzycznych i krótkich melodii. Zza ścian dobiegały dźwięki organów, czasami głosy chórzystów. Wszystko było całkowicie pozbawione naukowego zadęcia. I „to zagrało”, jak oznajmił mi ksiądz dyrektor, sugerując, aby zajęcia jesienią trwały dalej – nawet jeśli ja sama postanowiłam nie kontynuować kariery akademickiej.

Tymczasem zaczęły się wakacje. Z początku były wyjątkowo chłodne. Często padało, a temperatura rzadko przekraczała dwadzieścia stopni. Za oknem każdego ranka witały mnie falujące zarośla, które w tym roku – dzięki deszczom i wiatrom od strony Wisły – wyjątkowo nie płowiały. Trwał zatem dziwny bezczas, stan zawieszenia, z którego nie potrafiłam się otrząsnąć ani ja, ani przyroda, bo nawet ona nie chciała się przemienić tak, jak wymagały tego okoliczności. Nie mogła opuścić

czerwca i przechylić się ku lipcowi. Dni zaś mijały szybko, przeciekały przez palce. Był to jednak dziwny przepływ czasu: prędko, niemal gorączkowy, ale bezproduktywny. Koło zegara kręciło się jak młyn, który nie mieli niczego. Wakacje powinnam była zaś spędzać pracowicie. Pod ich koniec czekało mnie jeszcze kilka wykładów, umówionych już dawno. Trzeba było wreszcie zabrać się za przygotowania. Zerwałam zatem z uczelnią, ale nie do końca.

Na wakacyjnym kursie miałam mówić o tym, jak literatura stopniowo uświadamiała sobie dwuznaczność piękna – i ulegała jego niebezpiecznej naturze. Najłatwiej było to chyba pokazać na przykładzie miłości mężczyzny do kobiety, która, jak uczyli dawni mistrzowie, mogła uwznioślać kochającego lub go pogrążyć, dokładnie tak jak piękno w pismach teologów. Takich literackich miłości było pełno; romans, który odmienia bohatera, jest chyba jednym z najczęstszych i najbardziej klasycznych wątków podejmowanych przez pisarzy. Można było przebierać do woli, wyciągać co ciekawsze przykłady i obserwować, w jaki sposób zmieniały się w zależności od tego, w jakim okresie i po co je tworzono. Miłość zawsze jest przecież zachwytem nad czymś konkretnym i wskazuje na pewne wartości (lub antywartości). W tym sensie niemal każdy romans może być czytany także jako kryptotraktat metafizyczny.

Wykłady nie musiały być szczególnie oryginalne. Planowałam zacząć od świętego Augustyna, za którym szli wszyscy najwięksi twórcy chrześcijańscy – bo chyba nikt nie wyjaśnił kłopotu tak elegancko jak Hipponata (i chyba żaden inny Doktor Kościoła nie miał z pięknem tak wielu problemów, a więc i powodów, żeby się z nim zmagać). Potem mieli pojawić się klasycy: Dante, który ubóstwił Beatrycze, i Petrarca, który o Laurę wyklócał się z Augustynem w dialogu filozoficznym

własnego autorstwa. Jeszcze później chciałam omówić Dostojewskiego, pewnie na przykładzie Soni Marmieładowej i Gruszy, w których to, co ziemskie, łączyło się z tym, co duchowe w najbardziej fantastycznych konfiguracjach. Wreszcie miałam powiedzieć kilka słów o Tomaszu Mannie i jego rozważaniach nad chorobliwością talentu – czyli o tym, o czym niedawno pisałam na blogu. Miałam jeszcze kilka innych pomysłów; chciałam koniecznie dorzucić coś z polskiej literatury współczesnej, ale moje prace utknęły w martwym punkcie.

Zbyt długo już chyba ślęczałam nad tym problemem i całe przedsięwzięcie wydało mi się jałowe. Jałowość, tak, jałowość – to było to, na co cierpiałam ja, przyroda i kultura, którą się zajmowałam. Nazwiska wielkich pisarzy przemykały mi przed oczami i nie wydawały się już wiarygodne. Bo czy na pewno mogli dostarczyć jakiegokolwiek recepty na problem piękna? Przecież Beatrycze Dantego była martwa, kiedy ją opiewał, nie mogła być zatem realnym zagrożeniem dla jego serca. I czy tego samego nie da się powiedzieć o Laurze, zmyślonej dokładnie tak samo, będącej jedynie ideą rozpiętą na przelotnym zauroczeniu? A przecież obaj poeci dostarczyli form, w których sublimowała i realizowała się przez całe wieki miłość platoniczna. Może zatem wszyscy, którzy poszli za nimi, uczestniczyli jedynie w zmyśleniu nie mającym związku z prawdziwym życiem? Bo obaj – i Dante, i Petrarca – na co dzień dokonywali jednak innych wyborów, mniej platonicznych. Może więc literatura Zachodu była jedynie oszustwem pięknoduchów? Jeśli miałyby jedynie maskować klęskę urodę słów, to nie była warta niczyjego czasu. Od dawna brałam to pod uwagę, teraz wątpliwości wróciły ponownie. Robiłam zatem konfitury z czereśni, mnożyłam słoiki z ogórkami. Przesadzałam begonie, przybywało przetworów. Dni były jak słoje na półkach, identyczne, rośliny kwitły zaś coraz intensywniej, nieświadome swojego piękna i w związku z tym nie mające z nim żadnych problemów.

I wtedy właśnie natrafiłam na tę historię.

\*

On (z Rzymu, przekład Leopolda Staffa):

*Tyle mi szczęścia daje  
Litosna, piękna pani  
Że gdy wzrok spocznie na niej,  
Mógłbym się dawnym czuć, mimo starości.*

albo:

*Szczęśliwa cały dzień suknia się czuje,  
Że pierś owija i wokoło spływa.  
Złota plecionka, dotykiem pieściwa,  
Tęsknie wzdłuż twarzy i szyi się snuje.*

Pisał też, że jej słowa są jakby męczyzna przemawiał w kobiecie; że to nawet może bóstwo mówi przez jej usta i, słysząc ją, on nie jest już panem samego siebie. Słał listy, tworzył sonety (co najmniej osiem), trzy madrygały, rysunki, projekty jednej z Piet i nowatorski szkic Ukrzyżowania. Ona odpowiadała mu własnymi sonetami. Wysyłała porady artystyczne i religijne, bo w całej Italii znany był jej dobry smak i była również biegła w teologii, angażując się w odważne projekty reformy Kościoła katolickiego. Nie szczędziła przyjacielowi pochwał i

upominków. Czasami spotykali się w Rzymie i spędzali godziny na dyskusjach o sztuce. Mogli to robić, bo ona była wdową, a on – samotnikiem, który nie musiał się z nikim liczyć. Przyjeżdżała do papieskiego miasta z Viterbo, gdzie gościła u kardynała Reginalda Pole’a, lub z innych miejsc, w których zwykła spędzać lato. Ich rozmowy były pewnie pogodne i niezobowiązujące, bo oboje uważali, aby w niczym nie przekroczyć wąskiej granicy pomiędzy platoniczną bliskością, a tym, co zaczyna się za nią – i ciągle byli blisko tej granicy. Ona zdecydowanie wpłynęła na jego późną twórczość. Pewnie też myśleli o sobie zbyt dużo i zbyt często, bo wreszcie napisała (z klasztoru, w którym lubiła przebywać): „Jeśli mielibyśmy tak pisać bez końca, ja zaniedbałabym służbę w kaplicy św. Katarzyny i pozostawiła siostry bez towarzystwa w oznaczonych godzinach, ty zaś zaniedbałbyś kaplicę św. Pawła, nie mając czasu na słodkie przesiadywanie w towarzystwie swoich malowideł, które mówią do Ciebie tak, jak do mnie otaczający mnie ludzie. Ja zawiodłabym oblubienice, ty – wikariusza Chrystusa”. Jest w tych słowach coś z emocjonalnej zadyszki. W czasie ich przyjaźni Michał Anioł malował dla papieża „Sąd Ostateczny” w Kaplicy Sykstyńskiej, a potem freski w sąsiedniej Kaplicy Pawłowej.

Pozostali przyjaciółmi do końca jej dni (bo ona zmarła jako pierwsza). On – jak Petrarca – podzielił sonety na te pisane za jej życia i te, które powstały po jej śmierci. Czytając o ich historii, zastanawiałam się, ile klisz kulturowych można wykorzystać i przetworzyć, aby odpowiednio przeżyć taką bliskość, pełną pasji i niespodziewaną, która przychodzi na starość, zdecydowanie za późno dla obu stron; i jak można wycisnąć z niej wszystko, nie tracąc przy tym swojej integralności i pozycji. Oboje mieli przecież wiele do stracenia. Tak, to była serdeczna przyjaźń, a oni byli mistrzami form.

Ale od początku.

\*

Zacznijmy od tego, że piękno nie musi być wcale materialne.

[...]

*Marta Kwaśnicka*

*Więcej tekstów można znaleźć na blogu autorki*

---

**Zostań darczyńcą książki Marty Kwaśnickiej!**

**Zwracamy się do Państwa z ogromną prośbą o wsparcie książki Marty Kwaśnickiej „Krew z mlekiem”.**

Koszty, które musi ponosić wydawca ambitnych, często filozoficznych, trunych tytułów, wprowadzając je na rynek, są tak duże, że ewentualne zyski ze sprzedaży książek nie są w stanie ich zrekompensować. Dlatego prosimy Państwa o pomoc. Każda, nawet niewielka wpłata, może sprawić, że Teologia Polityczna będzie bliżej wydania zbioru

esejów Marty Kwaśnickiej, otwierających nową serię, w której planowane są publikacje m.in. Jakuba Lubelskiego, Tomasza Rowińskiego, Adrian Sinkowskiego, Pawła Rojka.

Dotąd udało się nam wykonać redakcję, skład, korektę książki. Aby „Krew z mlekiem” mogła ukazać się drukiem, potrzebna jest druga korekta, projekt okładki, a także druk – **fundusze niezbędne do zamknięcia projektu to już tylko 1670 zł.**

**Dlatego każdy, kto wspierając publikację Marty Kwaśnickiej, dokona wpłaty w wysokości 50 zł lub wyższej, otrzyma publikację gratis. Dziękujemy za każdą, nawet niedużą wpłatę!**

#### **WPŁATY**

Volkswagen Bank Polska S.A.  
64 2130 0004 2001 0299 9993 0001  
**z dopiskiem "TP Kwasnicka"**  
Fundacja Świętego Mikołaja  
ul. Przesmyckiego 40  
05-500 Piaseczno

#### **Kwaśnicka pisze we wstępie do książki:**

*Polacy są skrzyżowaniem tyleż Wschodu z Zachodem, ileż Północy z Południem. Moja książka nawiązuje raczej do tego drugiego przecięcia; o kulturze Europy staram się pisać właśnie z takiej perspektywy. Jesteśmy krajem północnym, puszczańskim, o rzymskiej tożsamości. W naszej literaturze istnieje wielu autorów opisujących z upodobaniem*

*życie w krajach śródziemnomorskich, szukających tam uparcie własnych korzeni. Polaków zbyt długo umieszczano na Wschodzie, poza zasięgiem właściwej Europy – kochali ją więc, zwłaszcza w jej południowym wydaniu, uczuciem namiętym i często nieodwzajemnionym. Ponieważ z urodzenia byli ludźmi Północy, opisywali wdzięki klasycznej Europy w setkach książek, a spod ich piórami polszczyzna nabierała nowych cech, niezwykle zmysłowych. Choć od dawna wiadomo, że nie ma jednego europejskiego sposobu pisania o antyku czy o wielkich klasykach kultury, to można jednak powiedzieć z całą pewnością, że wytworzył się już sposób specyficznie polski.*

Teksty autorki można też znaleźć tutaj:

<http://www.teologiapolityczna.pl/marta-kwa-nicka-kultur-oddali-my-sami/>

<http://www.teologiapolityczna.pl/marta-kwasnicka-jadwiga-za-malo-marty/>

**Marta Kwaśnicka (ur. 1981)** - wykładowca akademicki, dziennikarz. Pisze popularnego bloga o kulturze (kwasnicka.kresy.pl). Autorka i współautorka dwóch monografii o dziejach Towarzystwa Jezusowego. Naukowo zajmuje się m.in. kulturą redukcji jezuickich. Wieloletnia współpracowniczka portali PolskieRadio.pl, Rebelya.pl i Kresy.pl, publikowała także m.in. w pismach "Czterdzieści i Cztery", "Frona" i "Pressje". Mieszka w Krakowie.

